

A detailed black and white illustration of various flowers and leaves, including a large rose in the top right, a daisy-like flower in the top center, and several leaves scattered around. The background is a dark, textured surface.

MARTYNA KELLER

Love me,  
my dear

ARTISTS #1

SUROWY *Rhodes Covington* RZĄDZI  
W SWOJEJ ELITARNEJ AKADEMII TWARDĄ RĘKĄ.





MARTYNA KELLER

Love me,  
my dear

**ARTISTS #1**

Copyright ©  
Martyna Keller  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2024  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone  
All rights reserved

**Redakcja:**

Anna Adamczyk

**Korekta:**

Katarzyna Chybińska

Karolina Piekarska

Maria Klimek

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Przygotowanie okładki:**

Paulina Klimek

**Autorka ilustracji:**

Natalia Piana (natine\_czyta)

**Druk i oprawa:**

Abedik S.A.

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8362-300-9

System funkcjonowania prywatnej akademii sztuki zawarty w *Love Me, My Dear* oraz *Hate Me, My Dear*, czyli dylogii „Artists” został ustalony przez autorkę i nie posiada on odzwierciedlenia w rzeczywistości.

Ponadto w obu tytułach mogą przewijać się nawiązania do serii „Lies”, opisującej pośrednio dzieciństwo głównego bohatera – Rhodesa. Oba cykle można jednak czytać osobno.

Stracę kontrolę, gdy przyciągniesz mnie blisko.

*Skin and Bones* – David Kushner

Dla serc, które już zawsze będą tęsknić.

# PROLOG

## DREAM

– Podobno straszny kutas z tego Covingtona.

Zdezorientowana słowami popijającego piwo Caleba, spoglądam w jego stronę. Tym samym nareszcie odklejam pełen podziwu wzrok od potężnego gmachu budynku prywatnej akademii sztuki, rozstawionej na calutkie Stany, oraz przy okazji mojej nowej szkoły, do której dostanie się graniczyło wręcz z pieprzonym cudem.

Co chwilę zapatruję się w nią, bo wciąż nie do końca wierzę, że to się dzieje: grzeję tyłek w elitarnej placówce założonej przez samego Rhodesa Covingtona, wybitnego artystę, krytyka dzieł, właściciela kilku galerii sztuki. Osoby, która w swoim fachu osiągnęła absolutnie wszystko. Siedząc na idealnie przystrzyżonej trawie, sącząc alkohol z papierowego kubka, chłonąc ostatnie



promienie letniego słońca i próbując nastawić się pozytywnie na nadchodzący rok szkolny, mam ochotę znowu się uszczypnąć. Zamiast jednak bawić się w niedowiarka na oczach ludzi, wracam do rozmowy z kolegą, zwłaszcza że nurtuje mnie pewna kwestia.

– Nie rozumiem... dlaczego nasz dyrektor *podobno* taki jest? – zastanawiam się, kładąc szczególny nacisk na jedno ze słów. – Mając z nim codziennie zajęcia, chyba powinniście wiedzieć, czy jest okej, czy może nie do końca.

Będący na drugim roku Caleb Griffin marszczy brwi.

– Mając z nim zajęcia? – powtarza za mną i jednocześnie parska śmiechem. – Dream, czy ty naprawdę sądziłaś, że Rhodes Covington bawi się w profesorkowanie kilkudziesięciu jako tako utalentowanych dzieciaków?

Skołowana mrugam parokrotnie.

– A nie bawi się w to? Przecież jesteśmy uczniami jego akademii... więc chyba powinien przekazywać wiedzę i wskazówki swoim podopiecznym?

– Jesteś uroczo niedoinformowana.

Ponownie wbijam nieco zawstydzony wzrok w budynek szkoły.

– Nie moja wina, że to, jak funkcjonuje to miejsce, stanowi tajemnicę – bąkam pod nosem, zatapiając palce w miękkim trawniku. – O słynnej szkole Rhodesa Covingtona nie wiadomo dosłownie niczego. No, może oprócz tego, że tych, którzy ją kończą, czeka świetlana przyszłość. Jak miałam więc niby się w tym wszystkim według ciebie doinformować, co?

Nie przesadzam. System, w jakim funkcjonuje szkoła, naprawdę powszechnie uznaje się za sekret wagi państwowej. Być może jest tak dlatego, by nikt nie był w stanie powtórzyć jej sukcesu? Cóż, w każdym razie już z daleka widać, że to miejsce ma coś wspólnego właśnie z sukcesem. Sam budynek to luksusowa kamienica. Wykonana z białej cegły, posiada kształt prostoką-

ta – pomiędzy jej ścianami mieści się sporych rozmiarów dziedziniec porośnięty trawą. Wszystko to znajduje się w samiułkim centrum ciągle odwiedzanego przez turystów Denver i zwraca uwagę każdego, kto się przez nie przedziera. Szkopuł w tym, że żaden „szary człowiek” ani nie dojrzy zbyt wiele przez wizjer w drzwiach, wciśniętych w uliczkę odgradzającą wnętrze akademii od szerokich chodników miasta, ani tym bardziej nie zostanie tu wpuszczony.

Po szybkim przeczesaniu wzrokiem terenu znowu krzyżuję spojrzenie z Calebem.

– Zresztą nie bądź taki mądry. Jesteś na drugim roku, ale na pewno też niczego nie ogarniałeś i do tego trzęsły ci się portki, gdy pojawiłeś się tutaj po raz pierwszy.

Chłopak uśmiecha się zadziornie, po czym obejmuje mnie ramieniem.

– Może tak było... – Udaje, że sięga pamięcią gdzieś daleko i unosi ręce na tyle, na ile może w obronnym geście. – Okej, już się tak nie dąsaj. Na szczęście masz mnie, a ja z chęcią wdrozę cię w świat surowych regułek pana dyrektora.

Kiedy tu przyjechałam, nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Na szczęście to właśnie Caleb postanowił się mną zaopiekować po tym, jak w trakcie prezentacji szkoły przez sławnych profesorów zapatrzyłam się we wszechobecne luksusy i na niego wpadłam. Tak wyszło, że złapaliśmy wspólny język i zaczęłam trzymać się z nim. Jest naprawdę w porządku, tak sądzę.

Teraz nabiera głębszy wdech, nim zaczyna swój wywód:

– Covington nas nie uczy. W sumie widziałem go może cztery razy na własne oczy? Podczas wizytacji na zajęciach prowadzonych przez innych profesorów i standardowego odpytywania uczniów ze znajomości regulaminu szkoły, o ile dobrze pamiętam. Wiesz, Dream, on po prostu przesiaduje całe dnie oraz nocę w gabinecie i odpowiada za trzymanie w ryzach tej budy. – Chłopak bawi się ramięczkiem mojej sukienki oraz wpatruje

w nie, zastanawiając się nad kolejnymi zdaniem. – Rządzi tu twardą ręką. Ma wszystkich pod kontrolą. Ustala milion zasad, a my musimy ich przestrzegać, w przeciwnym razie grozi nam natychmiastowe wydalenie z akademii. I nie, to nie żadna śpiewka dla cwaniaków. Ten buc serio wywała uczniów na zbity pysk nawet za najmniejsze przewinienie.

Krzywię się, bo prawda jest taka, że Rhodes Covington to mój idol praktycznie od zawsze i raczej nie chciałabym, by marzenia młodszej mnie o styczności ze słynnym artystą okazały się gorzkie. Początkowo liczyłam, że będziemy mieć z nim zajęcia i czegoś się od niego nauczę, ale na ten moment sędzę, że jednak nie chciałabym go spotkać, jeśli mógłby zganić mnie za byle co. Znając mojego pecha, dałabym mu ku temu powód, nawet doskonale pamiętając o tych jego świętych zasadach.

Och, cholera.

Boję się nie na żarty, że mu podpadnę.

– Poważnie, najlepiej jak najprędzej przeczytaj od deski do deski regulamin akademii, który na pewno leżał na twoim biurku – radzi mi Caleb, a ja zapisuję sobie w głowie, że od razu po powrocie do pokoju, także mieszczącego się w budynku kamienicy, chociaż pobieżnie przejrzę wspomnianą przez koleżkę książkę. – Choćby mały błąd popełniony na starcie nie zostanie ci podarowany. Nasz pan dyrektor słynie z talentu i swoich zajebistych prac, ale nie z okazywania litości i dawania drugim szans.

– Przeraza mnie – wyznaję.

– Powinien. – Chłopak zerka na mnie z politowaniem. – Poważnie, pierwszaczku: miej się na baczności. Nie chciałabym zobaczyć cię jutro idącej przez plac z walizką.

– Właściwie skąd Covington wie o tym, czy ktoś łamie jego zasady, skoro nie wychodzi z gabinetu? – pytam porządnie zaciekawiona i staram się w międzyczasie uporządkować sobie te wszystkie informacje, które sprzedaje mi kolega.

A jest ich... uch, całkiem sporo.

– Ma oczy dookoła głowy – żartuje Griffin. Następnie rozgląda się ukradkiem, by upewnić się, że nikt nas nie podsłuchuje, i na powrót przypatrując się mojej twarzy, dorzuca konspiracyjnie: – A tak serio w tej akademii panuje taki wyścig szczurów, że każdy donosi na każdego. No i profesorowie też nie są głupi.

Zaczynam czuć potwornie dużą presję związaną z odbywaniem nauki w tym miejscu. Nie dość, że dyrektor podobno nie należy do przyjemnych osób, to jeszcze wszyscy zrobią co mogą, żebym do niego trafiła, byle tylko zyskać w jego oczach i zdobyć jego aprobatę.

Wiedza o tym zdecydowanie nie napawa mnie optymizmem.

– Mogłam zostać w Aspen – rzucam pod nosem po krótkim namyśle.

Caleb przyciąga mnie do siebie mocniej, podczas gdy wlewam w siebie więcej piwa, by jakkolwiek zdzierżyć rewelacje, których się dowiaduję. Cieszę się, że przynajmniej mam kogoś, kto jest w stanie zaoferować mi realistyczne spojrzenie na akademię i to, jaka atmosfera i reguły w niej panują. Bez tego czułabym się o wiele bardziej zagubiona.

Zupełnie jakby wizja jutrzejszego pierwszego dnia sama w sobie nie była już stresująca.

– No co ty, dostałaś szansę, która przydarza się tylko najzdolniejszym – pociesza mnie miękkim tonem chłopak, nadal śmiało mnie obejmując. – Zaczęłaś naukę w najlepszej akademii sztuki w całym pieprzonym kraju. Kończąc ją, staniesz się kimś.

– Mam wątpliwości, czy ją skończę – odpowiadam mu i uwalniam spomiędzy ust westchnienie. – Może wywałą mnie za niewyprasowany ciuch?

Caleb śmieje się głośno.

– Akurat tego nie ma w regulaminie.

– Czeka mnie dzisiaj noc pełna wrażeń, gdyż zamierzam go przeczytać – odpieram ironicznie i uśmiecham się, bo widzę, że

coraz więcej uczniów wyłania się z jednego z wejść do kamienicy. Najwyraźniej wieść o tym, że tego wieczoru odbywa się impreza z okazji zakończenia wakacji rozniosła się po szkole naprawdę szybko.

Od patrzenia na towarzystwo odciąga mnie Griffin i moment, kiedy jego wolna dłoń szybkuje w moim kierunku.

– Hej, w takim razie nie pij tyle, bo niczego nie zapamiętasz – upomina mnie rozbawiony Cal, próbując mi przy tym zabrać kubek. Wkrótce jednak odpuszcza sobie ten zamiar, mówiąc z pobłażaniem: – Albo w sumie pij... odstresuj się, dziewczyno, bo drżysz jak galareta.

Mój palec wskazujący wystrzela w kierunku jego klatki.

– To dlatego, że mnie nastraszyłeś – prychem, lecz zaraz rezygnuję z udawania, że mam mu cokolwiek za złe, bo tak naprawdę jestem mu ogromnie wdzięczna za bycie moim drogowskazem, gdy znalazłam się w zupełnie nowym otoczeniu. – Dobra, zgrywam się. Nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie i twojego doświadczenia. Pewnie idąc jutro na pierwsze zajęcia, czułabym się jeszcze bardziej tak, jakby ktoś wrzucił mnie na głęboką wodę.

Siedzący obok chłopak obnaża zachęcająco zęby.

– Spokojnie, Dream. – Gładzi moje odkryte ramię, ale nie robi tego w sposób, który jakkolwiek by mi przeszkadzał. – Przyzwyczaisz się do tego, jak ta machina działa. Sam zrobiłem to po kilku tygodniach i teraz, po roku, czuję się tu nawet swobodnie.

Mam nadzieję, że z czasem ja także będę się tak tutaj czuła. Zależy mi, by skończyć tę akademię... marzy o tym chyba każdy młody artysta. No i głupio byłoby wylecieć nie za brak talentu, ale za, nie wiem, kilkuminutowe spóźnienie? Myślę, że Rhodes Covington mógł uwzględnić spóźniałstwo w swoim regulaminie, skoro taki z niego sztywniak.

Litości, powinnam raczej zastanawiać się nad tym, czego on tam nie uwzględnił. Myślę o tym, bo czarna książka ze srebrnym

herbem szkoły leżąca na moim biurku była niewyobrażalnie gruba, kiedy zerknęłam na nią po odnalezieniu swojego pokoju.

– W zasadzie to impreza z okazji zakończenia wakacji może się dzisiaj tutaj odbywać? – wtrącam, krążąc zaintrygowanym spojrzeniem po placu oraz zauważając, że uczniowie noszą dużo... ogromnie dużo skrzynek z alkoholem.

Caleb przytakuje.

– Tak. To znaczy... mamy na nią zgodę, pod warunkiem że nikt nie będzie robił niczego głupiego. Wiesz, krzyczał na cały głos, brał jakiegoś gówna albo wszczywał bójkę. Albo też puszczał muzyki na cały regulator w czasie trwania ciszy nocnej... ale do niej jeszcze daleko.

Kiwam głową na znak, że wszystko rozumiem.

– Okej. Opowiedz mi coś o zajęciach.

– Zajęcia są w porządku. – Cal zakłada okulary przeciwsłoneczne na nos, a ja uśmiecham się i poprawiam mu je, ponieważ się przekrzywiły. – Wyniesiesz z nich dużo i będziesz zadowolona. To duży plus tego miejsca, nauczą cię tutaj wszystkiego i pomogą rozwinąć twój talent. Każdy stąd zauważył postępy w swoich pracach po pewnym czasie.

Wypuszczam krótki, przeniknięty ulgą wydech.

– Okej, to brzmi trochę pocieszająco.

– Pocieszające jest też to, że raz w miesiącu może przyjechać do ciebie ktoś bliski.

Na samą myśl o swojej rodzinie gryzę delikatnie wewnątrz policzka. Nie nazwałabym jej jakoś bardzo pokręconą, chociaż gdy nagle w mojej głowie pojawia się wspomnienie tego jak Rhys zrobił sobie nagą sesję z siekierą w ręce, żeby przypodobać się jakiejś dziewczynie lubiącej gorących drwali, albo że Valentine napisała na chyba milionie ważnych dokumentów taty, że niesamowicie mocno go kocha... dobra. Może wszyscy są w pewnym stopniu popieprzeni, ale ja na pewno jestem z nich najnormalniejsza i nie odwałam cyrków.

– Zobaczymy, czy będę z tego korzystać – odpowiadam i dopijam alkohol.

Caleb ściąga rękę z mojego ramienia, po czym trąca mnie łokciem w bok.

– Pociągnęłaś za duży łyk piwa, żebym nie zapytał, co jest nie tak z twoimi bliskimi.

– W Aspen zostawiłam nadopiekuńczego tatę – zaczynam się tłumaczyć, a w moim głosie na pewno pobrzmiwa zrezygnowanie. – W pakiecie z dwoma starszymi braćmi, którzy gdyby tylko się tutaj zjawili, od razu wykosiliby każdego mojego potencjalnego chłopaka...

Griffin unosi pytająco brew.

– Powinienem się, nie wiem, odsunąć?

Zerkam na niego z ukosa, uśmiechając się.

– Chciałeś być moim potencjalnym chłopakiem?

– Może. – Mruga do mnie. – Masz jeszcze jakieś rodzeństwo?

Parskam śmiechem, podczas gdy on dolewa mi do kubka więcej piwa.

– Młodszą siostrę – zdradzam, trochę tęskniąc za ośmioletnią Valentine. Mimo dzielącej nas różnicy wieku dogadywałyśmy się i nawet polubiłam bycie jej niańką. – Mam jeszcze mamę, która temperuje jakoś męskie towarzystwo. A ty? Co z twoimi bliskimi?

Cal opowiada mi o swojej starszej siostrze. W czasie gdy to robi, wyciąga z kieszeni spodni telefon i zaczyna odczytywać wyświetlone na jego ekranie powiadomienia. Wtem przerywa swój monolog, gwizdząc i zwracając przy tym uwagę kilkorga uczniów siedzących wciąż na ciepłej trawie przy zachodzie słońca, tuż nieopodal nas.

Zaciekawiona próbuję tyknąć na ekran komórki chłopaka.

– Covington pałęta się po San Francisco ze śmietanką towarzyską artystycznego świata – wyjaśnia, podsuwając mi urządzenie pod sam nos, a ja mruję oczy, próbując coś na nim zoba-

czyć. – Do Denver wróci najpewniej dopiero jutro rano. Może też będzie miał kaca?

Przypominam sobie prędko, że według mediów brał dzisiaj udział w jakimś istotnym wydarzeniu odbywającym się w odległej od Kolorado Kalifornii i dochodzę do wniosku, że pewnie tak: w swojej akademii zjawi się dopiero jutro, skoro spędza tu dużo czasu.

– Może – potakuję. – Chociaż nie wygląda, jakby miał kiedykolwiek kaca.

– Prawda. Wygląda raczej jak Pan Wiecznie Porządny – drwi chłopak.

*Do tego przystojny, przyznaję, chcąc nie chcąc, w myślach, bo wciąż nie odrywam spojrzenia od zdjęcia, na którym widać Rhodesa Covingtona w towarzystwie innych ważnych osób, siedzących w jakiejś restauracji i dyskutujących o prawdopodobnie nudnych rzeczach.*

– Bzyka się też pewnie po ciemku – dorzuca kpiąco Cal.

Krztuszę się swoim piwem.

– Szlag, połamałam się – zauważam zawstydzona i spoglądam na swoją sukienkę.

– Niezdara – rzuca rozchmurzony kolega, po czym wstaje na nogi oraz wyciąga w moją stronę rękę, którą przyjmuję bez wahania, mimo że nie znam jeszcze jego zamiarów. Te zdradza mi po chwili: – Chodź, przedstawię cię swoim znajomym. Powinni się już gdzieś tutaj kręcić.

Zgarniam džinsową kurtkę z trawy i dopiero potem ruszam z chłopakiem w kierunku jednej z kilkunastu grupiek uczniów siedzących na kocach nieopodal. Cal przedstawia mnie dwójce swoich przyjaciół: Lisie oraz Colinowi. Z początku czuję się przy nich niezręcznie, w końcu cała trójka dobrze się zna, jednak po paru godzinach, które upływają mi w szybkim tempie, oraz kilkunastu wypitych drinkach rozluźniam się na tyle, że gram z nimi w kultowe prawda czy wyzwanie. Robię to, nawet jeśli



trochę płacze mi się język, moje ruchy są odrobinę nieskoordynowane i nawet jeśli ledwo widzę na oczy, bo obraz przed nimi się rozmazuje.

Rany, chyba przez ten stres związany z jutrem przeholowałam z alkoholem.

Bawi mnie każda pierdoła. Dowodzi tego moment, kiedy butelka, którą wprawiła w ruch przemiła, jasnowłosa Lisa, wskazuje na mnie. Wyteżam wzrok, by upewnić się, że rzeczywiście tak jest, a potem wybucham śmiechem, bo w rzeczy samej, nadeszła moja kolej na wypełnienie zadania. Wszyscy stwierdziliśmy, że to właśnie one są ciekawsze niż zwykłe zwierzanie się z czegoś. Zamroczona procentami wypinam dumnie pierś, dając znak, że jestem przygotowana na wszystko, co wymyślą dla mnie nowi znajomi. Ta gra naprawdę pozwala mi się zrelaksować przed startem roku szkolnego. Przynosi niezły ubaw. Caleb musiał na przykład przed momentem wybiec poza teren akademii i zawyc jak wilk. Brzmiał... komicznie.

Wysoki brunet, czyli Colin, szczerzy się do mnie znacząco.

– Teraz wyzwanie dla Dream... – rzuca, potwierdzając, że nic mi się nie przywidziało i faktycznie teraz to ja będę mieć szansę rozbawić towarzystwo. Właściwie nie tylko my czerpiemy przyjemność z imprezy, która rozkręciła się w ciągu ostatnich godzin na pokrytym zielenią placu: w tym momencie wszyscy uczniowie głośno się chichrają.

Ktoś właśnie włącza muzykę, dlatego próbuję ją przekrzyczeć:

– Błagam, nic, co wymaga myślenia! – zaznaczam od razu, z opóźnionym refleksem odgarniając splecione włosy z na pewno poczerwieniałej od alkoholu twarzy. Cal obserwuje mnie wtedy z uwagą i od razu wyłapuje moje zamglone spojrzenie.

– Ktoś tu ledwo kontaktuje – docina mi.

Patrzę na niego i czkam pijacko.

– Sam wciskałeś mi te drinki.

– Na odstresowanie, bo czuję, że gdybyś ich nie dostała, zeszlabyś nam tutaj, panikując przed jutrem – usprawiedliwia się, przy czym siedząc wygodnie na kocu, opiera wyprostowane ręce za plecami. – Dobra, dajcie to wyzwanie.

Lisa wypala coś bardzo głupiego.

– Striptiz na latarni.

– Słucham? – wypluwam to przed niekontrolowanym napadem śmiechu. – To żart?

Cała trójka gwiżdże, natomiast ja czuję, jak moje policzki oblewa szkarłat. To trochę szalone. No i niewłaściwe. Mój tata i bracia na pewno by tego nie pochwalili, ale nie ma ich tu, więc... co mi szkodzi? Przecież wszyscy tej nocy odstawiają żalosalne numery, nie mogą być wcale gorsza. Rozglądam się i rzeczywiście widzę znajdującą się nieopodal latarnię.

– Zatańcz na niej brudny taniec i w jego trakcie coś z siebie ściągnij. – Lisa szczyrzy zęby oraz ciągnie zaczepnie rąbek mojej sukienki. – Tylko tyle, nawet nie mów, że pękasz.

Przytykam dłoń do wygiętych w uśmiechu ust i raz jeszcze czkam.

– Poważnie mam ocierać się o słup? Chcecie takiego show?

– To może być piekielnie seksowne – stwierdza Caleb.

Wstając chwiejnie na nogi, nasuwam mu czapkę z daszkiem na twarz.

– W moim wykonaniu to musi takie być, jasne?

Chłopak pokazuje mi kciuk w górę.

– Jak słońce, Callahan.

Nie myśląc trzeźwo, ruszam koślawo przed siebie. Swoją drogą dopiero teraz zauważam, że zdążyło zrobić się ciemno. Rozmawiając z resztą kompletnie straciłam poczucie czasu. Mknę niezdarne do dającej niewyraźne światło latarni i odwracam głowę przez ramię, by dojrzeć za sobą kibicujących mi znajomych. Puszczam im oczko. Następnie podchodzę do słupa i wypuszczam kolejny śmiech, bo ktoś, chyba na prośbę krzyczącego

Colina, zmienia piosenkę. Obejmuję dłonią latarnię i zaczynam tańczyć na niej w rytm *Disturbii* od Rihanny.

Z początku robię to powoli, bo nie czuję się pewnie.

Słyszając jednak doping innych siedzących na trawie uczniów, którzy również zwrócili na mnie uwagę, odrzucam głowę w tył i bawię się jeszcze lepiej, ocierając zmysłowo o zimną latarnię i podśpiewując przy tym słowa utworu. Niewiele widzę, ponieważ obraz przysłaniają mi potargane, czarne włosy, ale już nie obchodzi mnie, kto na mnie patrzy. Po prostu śmieję się i w pewnym momencie nawet zrzucam z siebie kurtkę, nie dbając o to, gdzie ta wyląduje.

Prezentuję coraz mniej grzeczny taniec, chichocząc jak nienormalna.

Po dłuższej chwili muzyka cichnie, ale nawet wtedy nie przestaję wykonywać swojego popisu. Przekonana, że nastąpiły jakieś problemy z dźwiękiem, tańczę i wywijam biodrami. Przynajmniej do czasu, aż ktoś nie zwraca się do mnie niewiarygodnie surowym tonem, od którego serce w mojej unoszącej się piersi zamiera w ciągu ułamka sekundy.

– Dla nieokrzeseanej tancerki impreza właśnie dobiegła końca.

Nieruchomieję i wlepiam zamglone spojrzenie w jakiegoś faceta.

– A kim ty jesteś, żeby przerywać moje show? – pry cham kpiąco.

– Jestem...

– Moim fanem? – Szczerzę się.

– Twoim dyrektorem, jak mniemam.

Przetykam bardzo powoli nagromadzoną w ustach przez spory wysiłek ślinę i czując, jak zimny pot prędko oblewa moje plecy, próbuję w ekstremalnie szybkim tempie wyostrzyć rozmyty wzrok. A gdy nareszcie udaje mi się tego dokonać, widzę, że rzeczywiście przygląda mi się Rhodes Covington we własnej, prezentującej się przerażająco osobie.

*Chyba mam przerażane.*